



Michał Migar
Erotyczny pamiętnik
masażysty

Michał Migar

erotyczny
pamiętnik masażysty

© Copyright by Michał Migar & e-bookowo 2013

ISBN druk 978-83-7859-213-6

ISBN e-book 978-83-61184-78-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie IV 2013

Fatum

Nazywam się Adam Tobuz i urodziłem się gdzieś u źródeł Sanu. Czemu zaciemniam? Bo dziś jestem ozdobą mojej ojcowizny i nie chcę, by mi ktoś z powodu tego pamiętnika wypominał przeszłość.

Gdyby mi powiedziano, że popelnię na papierze w swoim życiu, coś więcej niż wypracowanie z Kochanowskiego, z sześćdziesięcioma trzema błędami, które w siódmej klasie mojej szkoły, dawało mi nie najgorsze, bo piętnaste miejsce, to ja bym ze swojej strony, raczej uwierzył w to, w co przecież żadną miarą uwierzyć nie mogłem, że mój ojciec, przestanie pić, chociaż on rzucić picia wcale nie zamierzał, tak, jak ja, pod słowem, niczego w życiu nie zamierzałem pisać.

Baćkowa nahajka, której ślady po latach mydłem nie dało się zmyć, zniechęcała nie tylko do pisania. A gdyby matula część z tych, dla mnie przeznaczonych wyrazów ojcowskiej miłości, nie przyjęła na siebie, to zapewne wyglądałbym, jak cętkowane, kacze jajo.

Nie dziwota, że często przemyślałem, jakby tu struć, ojca, po tutejszemu baćkę, na amen. W grę wchodziła trutka na szczury, wilcze jagody, atrament. Wilcze jagody były sezonowe, trutka za droga, atrament, dostępny wprawdzie, ale, jak tu zatrzeć ślady, prowadzące wprost do mnie, bo oboje ojce, tego do niczego nie używały.

W domu zostałem jedynakiem z woli boskiej, bo całą resztę rodzeństwa, powołała, ta sama wola, wcześniej, do siebie. Miałem jedyne serdecznego bracha, Włodka, i gdyśmy tak z moim brachem grzeszyli w kulał za stodołą, Włodek mówił niezmiennie: „Masz ty, brachu, oj masz ty zaganiacza, fu, strach patrzeć ” Nic dziwnego, że nabrałem przekonania, że jestem jakimś zaprzańcem, a nie stworem boskim. A to i ojciec był tegoż zdania.

Rozpocząłem naukę w Technikum Mechanizacji Rolnictwa, ale pod wpływem księdza postanowiłem w przyszłości postąpić na służbę bożą. Moją, uwiklaną w starowierstwo duszyczkę, na prostą, ku panu Bogu drogę, jał wyprowadzać proboszcz, nasz szkolny katecheta. Żadnych formalności mi nie czynił. Nauczył i pozwolił ministrantować. Dostałem od duchownego panczeny, które, na wszelki wypadek zakopałem w żelaznej skrzynce po gwoździach, w sobie tylko wiadomym miejscu. Na wieść, że służę do mszy w katolickim kościele i się odszczepilem od naszej wiary prawosławnej, ojciec chwycił za nahaj, ale wrzasnąłem, że uderza w konstytucję, za co mu władza rękę po ramie utnie. Splunął za siebie ze trzy razy i wyniósł się do karczmy.

Po lekcjach najczęściej zostawałem na trochę w bożym domu, posprzątałem, posiedziałem w ławie, czasem usłużyłem do ceremonii zaślubin czy pogrzebu. Chciałem służyć Bogu. Byłoby zbiedz przed pokusą grzechu wszetecznego i nie czyniąc ujmy detce, dać przystęp aniołowi. Widać było w tym moim postępowaniu coś na rzeczy, bo dostałem od duchownego również wieczne pióro, które schowałem wraz

z panczenami. Anielskie dary jednak się detce nie spodobały. Słowa diabeł nie śmiałem użyć, palcem nie wytykałem. I tak wie się, o kogo chodzi. Zamiast dary zabrać, jeśli już tego koniecznie chciał, to on podburzył mojego bracha, Włodka. Inaczej być przecie nie mogło. Wzbudził w nim srogą do mnie zawieść. Brach mój zdradził na wsi okropny sekret „wielgachnego”. Teraz na potańcówkach, nie mogłem się wprost opędzić od dziewczuch, które potrafiły przyjeżdżać do nas z daleka, żeby się do mnie przytulać, piszczeć i srom mi robić tak dotkliwy, że z czasem przestałem, w ogóle na potańcówki chodzić. To, i nie było wątpliwości, że maczał w tym palce detko, a wszystko dlatego, że przedwcześnie go zlekceważyłem, bo go nazwałem przy duchownym po biblijnemu, szatanem.

Tego roku zima srożyła się na dobre. Rzekę skuł lód, po którym, jak po lustrze, do powiatu i z powrotem mknęły, dzwoniąc dzwoneczkami dziesiątki chłopskich sani. Wśród nich, wzbudzając głośnie okrzyki zdumienia podróżujących, z rozwianym włóczkowym szalikiem, jak torpeda, na moich anielskich, błyszczących panczenach, mknąłem i ja.

W tym dnia słupek rtęci spadł poniżej dwudziestej kreski. Po lekcjach ochędożyłem dom boży. Duchowny rzekł:

– Zostań dziś, Adamie u mnie. Zimno, do twojej wsi nikt nie jedzie. – blynął w uśmiechu, złotym zębem, którego mu zazdroszczono.

Podziękowałem dobrodziejowi.

Żona organisty, ze strzelistymi jak wieże kościelne piersiami, postanowiła uzupełnić mój niedobór kalorii, tak,

jak się dolewa olej do traktora. Miałem jeść. Natarczywie się we mnie wpatrywała, zagryzała wargi.

– Wielebny kazali, żebyś szedł pod prysznic. Wcisnęła mi w rękę ręcznik.

Wlazłem. Przybytek, w życiu czegoś takiego nie widziałem. Ciuchy precz i dotykałem cudeniek. Wrzasnąłem pod strugą lodowatej wody i bryknąłem z łazienki. Baba, jakby czekała. Wbiła wzrok w moją odpychającą męskość.

Bryknąłem z powrotem pod kaskadę cieplej już wody. Ha, cudło! Zapach konwali, w mydle.

Z chmur spadłem na ziemię. Szturchała mnie zimna ręka. Zza wodnej firany sterczała naga ręka gospodyni. Zmierzała do wielgachnej mękości.

– Coś cie? – wrzasnąłem. – Powiem wielebnemu.

Jak groch o ścianę.

– Nie darmo gadali we wsi. Jak kłonica – mrucała.

Oczy organiścichy jarzyły się bursztynowym blaskiem. Uciekać? Zimna ściana. Ręką go ucapila. Wychynął ze szczeciny nieproszony na światło dzienne olbrzymi, nagi, napreżony, jak jakaś fioletowa maczuga.

„Spietra się” – przeleciało mi przez myśl. Tak, by było, gdyby była kobietą. Była detkiem. Była detkiem pewnikiem, bo i śmiałyby sięgać po wielgachnego, co nie był jej? Przestało chlapać.

– Odpuść, że mi, nie uchodzi pod dachem duchownego.

– A skądże.

– Sam diabeł ci go przyprawił – powiedziała, oglądając z wypiekami na twarzy narzędzie szczególnych dla kobiety

tortur. Tak przynajmniej wtedy o tym myślałem. I ciarki mi po plecach przeszły.

Jakbym słyszał słowa swego ojca. Musieli o czymś wiedzieć, czemu ja nie wiedział. Kobieta oglądała go w całej ohydnej okazałości, wielkiego jak zardzewiały skobel u wrót stodoły.

Sięgnęła krocza. Odnalazła wprawna ręką dwie uciekające kulki. Stała w ogniu, niczym żagiew pod kotłem w chlewni. Podbrzuszem przebiegły mi dreszcze. Wielgachny podnosił się i spadał, jak szlaban na przejeździe.

– A mnie byś ty sobie nie obejrzał trochę? – stęknęła.
– Nalykałam się ja tych waszych męskich słodkości. Z wielebnym mi nie wyjeżdżaj, też człowiek.

Organiścicha rozerwała przy szyi bluzkę, i rzuciła się na ten, ów, mój szlaban i wepchnęła go sobie w szczelinę między piersiami. Stała przede mną na kolanach, twardymi cyckami ogarnęła wielgachnego, aż skrył się jak kulak w wyrobionym cieście.

Widziałem nieraz piersi mojej matki, ale gdzie jej do tych, organiścichy. Miała ciemne, sterczące sutki. Po raz pierwszy zobaczyłem, że piersiami nie tylko karmi się dzieci. Nagle odchyliła się do tyłu, by ukazać tłuste, wysoko obrośnięte krótkim włosem, rozwalone na boki uda.

Gołą rzycią siedziała na lakierowanym stołeczku. Nie siedziała. Jak ślimak wraz ze stolkiem pelzała w moją stronę. Na zydelku zostawiała wilgotny ślad. Palce mojej stopy wcisnęła między te rozłożone uda, pod kotkę, w gorące, śliskie siedlisko. Spomiędzy jej rozwartych kolan lypało na mnie tajemnicze, przekrwione oko, otoczone wijącymi

się, czarnymi rzesami. Ześrodkowałem całą swoją uwagę na tym podniecającym i przerażającym zjawisku. Niczego podobnego w życiu nie widziałem. Moja prześladowczy mi komuś zlorzeczyła, stękała. Brykała nogami, chrumkała jak maciora, ruszała biodrami i wciąż nie zamykała przepastnego oka, jakby wabiła nim moją spęczniałą maczugę.

Dostałem dreszczy, ni to ze strachu, ni to z innej przyczyny. Wielgachnego znowu wejcowała spoconymi piersiami. To było coraz przyjemniejsze, o furę przyjemniejsze, niż to, co robiliśmy z moim brachem, Włodkiem, za stodołą. Potężna rozkosz drażyła mi krzyż.

Wziąłem się na odwagę i dotknąłem jej wypukłości. Troskliwie je gładziłem. Piersi wymykały mi się z rąk, więc je zażyłem sprytnym chwytem spod spodu i zacząłem mocno miętosić. Bawilem się nimi z coraz większą pasją, widząc, jak kobieta wiję się w jakichś cudownych, niewysłowionych mękach. Pocałowała moje ręce. Schyliła się. Kłęb mego sprężonego mięsa dotknął jej ust. Trysnął, aż się zachwiałem. Kołysała się w przysiadzie na palcach mojej stopy, wyprężyła się. Zarechotała i nagle ryknęła, jak zarzynane ciele.

Na czworakach pod razami bykowca, padając od uderzeń męzowskiego buta, jęcząc i błagając o litość, skryła się w głębi pomieszczeń. Kopnąłem się do ucieczki, ale czerwony na gębie organista był tuż. Uderzył bykowcem, jakby chciał przeciąć na pół. Uch! Bolało. Rąbał we mnie, wyprawionym z penisa byka nahajem, jak tłuczkiem w wieprzowy kotlet. Leżałem przed nim bezbronny.

– Ja, panie, niewinny! – jęczałem.

Oszczędziłby mi dalszych lat życia, gdyby nie pojawiła się postać duchownego.

Na wyjaśnienia nie liczyłem. Łaski się nie dopraszałem. Ciuchy w garść, panczeny też, i na mrozie, potykając się, padając i podnosząc, biegiem do rzeki. Naciągałem ciuchy na zorane od razów ciało. Więcej jednak niż bólu, organisty, mrozu, a może i śmierci, bałem się teraz baćki.

Dopadłem wyrastających wprost z lodu wiklin. Rzeka ciemna po obu brzegach, środkiem lśniła uciekającą i ginącą gdzieś w poświacie księżycy wstęgą. Srebrnym, lodowym szlakiem, poturbowany i zniewolony, pomknąłem na darowanych mi przez księdza łyżwach. Kłębily mi się czarne myśli i najgorsze przeczucia. Grzeszyłem w kulak, o czym wspomniałem, podobnie, jak chłopcy ze wsi, ale chyba tylko mnie nachodziły myśli, że anioł za tym nie stoi. A jeśli nie anioł to, kto? Ojciec był pijakiem, ale głupcem być nie musiał. W pijanym widzie, dostrzegł widać stojącego za mną detkę.

– Insze dzieci klęczą u stóp najświętszych, ty u kopyt kosmatego – żartował ojciec w rzadkich u niego chwilach wisielczego humoru. Matka milczała, miała to w charakterze.

Próbowałem, odstąpić detkę, służąc do mszy. Nasłal na mnie wiedźmę i złoił bykowcem. Zresztą. Może ten „wielgachny” dla kobiet rozkwitłych jest cymesem, a bykowcem bił mnie i ją za karę, anioł? Nie na mój skolatany rozum rozsądzać to było.

Im bliżej chaty, tym mocniej ścisnął za gardło strach. Niechby baćka był spity. Spalbym w stodole zagrzebany

w ciepłym, fermentującym sianie.

Gnałem. W zwięzieniu rzeki cień mój zderzył się z drugim, niższym, wydłużonym. „Detko” - przemknęło mi przez myśl. Nie mniej groźne od bezcielesnego detki, okazały się cielesne wilki. Naliczyłem trzy. I choć mi życie było niemiłe, zdwoiłem prędkość. Byłem na łodzie nieosiągalny. Na skarpie wyrosły zaśniewane chaty ze strużkami sinawego dymu. Ścigający kamraci detki, wsiąkli w czerń lasu. Pocieszenia jednak nie było. Jasne okno chaty zwiastowało najgorsze. Ruszyłem do stodoły, ale w drzwiach chaty stanął baćka.

– Kto? – warknął. Kopniakiem nakierował mnie na sień.

– Psia jucho? – Chlasnął mnie otwartą dłonią w ucho. Cofnął się i spoglądał, to na swoją rękę, to na moją twarz. Przysunął wiszącą żarówkę do mnie i splunął z odrazą. Zauważyłem, że był tylko w koszuli, bez swoich długich gaci. Matka leżała na wyrku zupełnie bez sił, jakby ciężko zaniemogła. Jej jedna noga zwieszała się na podłogę. Gdy wszedłem, zawstydzila się i z trudem okryła koldrą. „Widocznie ją swoim zwyczajem napastowałem” – kołatało mi się we łbie.

– Zaprowadzi cię ten twój orczyk do grobu. Od urodzenia zwisał ci jak bat budząc, zachwyty tylko połoźnej. Patrząc, dzieciarów naznoszą – zawyrokowałem baćka. Porównał mnie z nierogacizną. Moją biedną mamę obarczał winą, że wydała na świat dziwolągą i suponował, że dopadł ją w kartoflisku jakiś zwierz. Powtarzał to często po pijanemu i zgryźliwie rechotał.

Matka bosy wylazła z łóżka, coś narzuciła na grzbiet,

zdjęła ze mnie wilgotne ciuchy. Nie zdradziła, że mi brak gaci i skarpetek. Na widok pleców jednak zalkała.

– To tak! – ryknął baćka, w którym obudziła się nagle pijacka drażliwość. – Kto?

Milczałem. Organista sługa boży. Jak wytłumaczyć, że byłem ofiarą detki, a później aniola? Kto to zrozumie? Po prawdzie i ja tego nie rozumiałem. Napytałbym tylko nową chłostę. Ale ona była mi widać i tak sądzona. Baćka zdjął z drzwi splecioną z gumowych kabli nahajkę, której smak w równej mierze znaleźmy: koń, ja i matka. Sparciała guma odsłaniała w wielu miejscach cieniutkie miedziane włókna. Przecinały skórę jak żyletka.

Zakryłem twarz rękami, a ojciec smagnął mnie ostrzegawczo po lydkach. Matka chwyciła go pod kolana. Zdzielil i ją. Wiła się jak pokutnica, lyskając gołym ciałem. Brakowało mi sił.

– Organista – wycharczałem.

– Organista?! – wrzasnął z nieklamany zdumieniem. – Teraz ja mu wyrznię. Baćka nie zapomniał mi odstępstwa od naszej wiary prawosławnej.

– Zakryjże cycki i rzyć! – ryknął na matkę. – Łachy! Wyskoczył na dwór i nie bacząc na noc, założył konia do sań. Do sań wrzucił widły i nahajkę.

– Tam wilki – ostrzegłem w nadziei, że poniecha zamiaru.

Mknęliśmy lodową wstęgą i tym razem księżyc świecił prosto w oczy. Baćka pokrzykiwał, złorzeczył, sanie łomotały, źle okuty koń ślizgał się i łapał równowagę. Dygotałem z zimna i bezsilnej rozpacz na myśl, co mnie teraz tam spotka.

Świsnęła nahajka raniąc koński zad. Wałach zarył kopytami.
Obrócił spieniony pysk i lypnął złym, lśniącym okiem.
Katapultował okute tylne kopyta wprost w siedzących za nim
ludzi.

Spis treści

Fatum	5
Ciemność	15
Kobieta	25
Powrót do życia	33
Pierwsze kroki	47
Dwa bieguny	65
Szeherezada	75
Terapeuta	85
Opowieść pani Agaty - pierwsza	97
Ech raz, jeszcze raz...	109
Niepokalana i inne	114
Ekscentryczka	125
Telefon 111	135
Pani Dulska	140
Opowieść pani Agaty - druga	146
Samo życie	151
Za dużo dobrego	156
Opowieść pani Agaty - trzecia	162
Takiej mnie nie znasz	168
Zwierzenie pedagoga	176
Bez blichtru	184
Wpadka	189
Honoratka	192
Propozycja	198
Opowieść pani Agaty - ostatnia	204
Ordnung	211
Kompleks	215
Kosztowne odstępstwo	222
Niezwykłe rozpoznanie	244
Moja kobieta	256
Nadzieja	282
Bezdroże	289